

# UWIELBIAM

## KONWENCJĘ,

# ALE... W „ULISSESIE”

Z JADWIGĄ JANKOWSKĄ-CIEŚLAK,

rozmawia Krystyna Nastulanka

N.: Pani jest trzeci rok na scenie?

J.: Czwarto.

N.: Ile pani zagrała ról w teatrze?

J.: Trzy: Elektry w sztuce Giraudoux, Mańkę w „Ślubie”, potem dwie role w „Anegdotach prowincjonalnych”...

N.: No i w znakomitym „Wieczorze Trzech Króli” w Starej Prochowni.

J.: Tak, ale to już poza macierzystym Teatrem Dramatycznym.

N.: Czy to w sumie dużo czy mało?

J.: Bardzo mało.

N.: A koledzy z pani rocznika grali więcej?

J.: Kilka osób. Ci, którzy zaangażowali się na prowincji.

N.: To znaczy, że szansę młodemu aktorowi daje raczej teatr w mniejszym mieście?

J.: I tak i nie. Na prowincji ma się jednak mniejszą szansę przebić, wypłynięcia na szersze wody. Nie mówiąc o tym, że jest się wtedy poza zasięgiem telewizji.

N.: A jak wyglądają pani kontakty z telewizją?

J.: Nieźle. Muszę sobie przypomnieć w czym to ja grałam... W „Pikniku”, „Aktorze”, „Pogrążyć się w mroku”, „Mieszczanach”...

N.: Jest to już poważny dotódek dla tak młodziutkiej aktorki. A przecież grywała pani także w filmach. Z sukcesem zresztą.

J.: Rzeczywiście po „Trzeba zabić tę miłość” krytyka oceniła mnie życzliwie. Nazbyt życzliwie. Grałam też u Kutza, Łomnickiego.

N.: Kończycie szkołę teatralną, a potem najmniej gracie w teatrze... Czy szkoła przygotowuje was do telewizji, filmu?

J.: Nie, a przynajmniej nie przygotowywała w tych latach, kiedy ja studiowałam.

N.: Mimo tych rozmaicie układających się proporcji czuje się pani przede wszystkim aktorką teatralną?

J.: Tak, teatr jest dla mnie najważniejszą sprawą, jak dla większości naszych aktorów.

N.: Często bywa pani w teatrze, jako widz?

J.: Bardzo rzadko. Chodzę albo na znakomite spektakle, albo gdy wiem,

że znakomity aktor „wyłożył się” na roli.

N.: To panią bawi?

J.: Jako zaskoczenie, jako sensacja.

N.: A jaki teatr pani lubi?

J.: Konwencjonalny. W ogóle uwielbiam wszelką konwencję. Oczywiście — dobrą.

N.: Dobrą, to znaczy jaką?

J.: Lubię teatr aktorski, rzemieślniczy.

N.: A jaki repertuar?

J.: Niestety, nie miałam jeszcze możliwości sprawdzić tego. Ale dobrze się czuję zarówno w grotesce, jak w Szekspirze.

N.: Z jakimi reżyserami najlepiej się pani pracuje?

J.: Pracowałam z dwoma najwybitniejszymi chyba. Z Dejmkiem i z Jarockim i bardzo mi to odpowiadało: obydwaj mają ogromną wiedzę, doświadczenie i troszczą się o młodego aktora.

N.: A z młodymi?

J.: Nie za dobrze. Wolę mieć do czynienia z ludźmi, którym mogę ufać, którzy są w pełni odpowiedzialni za całość przedstawienia i za mnie także.

N.: Jeśli reżyser i krytyka są z pani zadowoleni, pani jest także z siebie zadowolona?

J.: Nie. Po „Elektrze” dobrze o mnie pisano, a wcale nie byłam z siebie zadowolona. Moja Elektra była żadna. Podobała się, bo byłam młoda, nie kulawa, udawałam, że coś przeżyłam. Oczywiście, miłe mi było, że dobrze o mnie pisali, ale niedosyt pozostał. Dotychczas moim największym przeżyciem aktorskim była „Matka” Witkacego.

N.: Robiliście to jeszcze w szkole? Z Jarockim?

J.: Tak. Choć była to rola przeciw moim warunkom, przeciw wiekowi. Choć musiałam pokonać tyle trudności i zdobyć się na ogromny wysiłek, żeby uprawdopodobnić tę postać.

N.: Podniecają panią takie karkołomne zadania?

J.: Wyłącznie takie. A naprawdę męczy mnie tylko bezczynność. W cztery lata po dyplomie aktor powinien się już przynajmniej w przybliżeniu orientować w swoich możliwościach i wiedzieć, czy potrafi w te klocki grać.

N.: Czyżby pani miała wątpliwości?

J.: Oczywiście, za mało gram.

N.: Idąc do szkoły wyobrażała sobie pani inaczej los młodej aktorki?

J.: Nie, oceniałam sytuację trzeźwo, chociaż byłam całkowitym cywilem w tym zawodzie.

N.: Jak wszyscy chyba, przystępujący do egzaminu?

J.: No, nie. Mam na myśli to, że nikt w mojej rodzinie nie miał nic wspólnego z teatrem.

N.: A jak pani trafiła do PWST?

J.: Całkiem przypadkowo. Nie wypadło porzucić na maturze, więc zaczęłam się zastanawiać, gdzie zdać, gdzie najłatwiejszy egzamin wstępny. I doszłam do wniosku, że właśnie w szkole teatralnej.

N.: Rzeczywiście? Przy tak ogromnej ilości kandydatów, wysokich wymaganiach?

J.: Przecież ten egzamin polega w gruncie rzeczy na udawaniu, robieniu min, nauczeniu się na pamięć kilku tekstów a w zakresie przedmiotów teoretycznych wymagana wiedza mieści się właściwie w granicach hobby. A ponieważ w okresie dojrzewania doszłam do wniosku, że inteligentny, kulturalny człowiek powinien się interesować teatrem, czytałam trochę na ten temat. Lubiłam także czytać dramaty. No i naturalnie chodziłam do teatru.

N.: Co się pani wtedy podobało?

J.: Wszystko. A chodziłam na ogół na bardzo niedobre przedstawienia. Bez wyboru. Dopiero w 62 roku moi rodzice przenieśli się do Warszawy z Gdańska. Jestem więc z prowincji.

N.: Ładna prowincja!

J.: Wtedy Gdańsk był jeszcze prowincją.

N.: Przed przystąpieniem do egzaminu brała Pani chyba lekcje dykcji, recytacji, czy występowała na jakichś przedstawieniach szkolnych?

J.: Nigdy w życiu. Pamiętam tylko jeden mój występ na lekcji polskiego. Nasza pani kazala nam się nauczyć na pamięć jakiegoś fragmentu z „Pana Tadeusza”. Zostałam wywołana do odpowiedzi i nagle przyszło mi na myśl, żeby to powiedzieć tak, jakby powiedział aktor. Efekt był piorunujący. Moi koledzy wyli, turlali się, plakali ze śmiechu. Trzeba dodać, że byłam wtedy okropnie gruba, a ponadto nikt się nie spodziewał, że „odstawię” taki teatr.

N.: A czy dzisiaj z tej maleńkiej perspektywy kilku lat, umiałaby pani już powiedzieć, co zawdzięcza szkole?





Niektórzy mówią, że jestem dziwaczką, może i jestem Fot. Tadeusz POZNAK

J.: Pierwszy szlif, a zarazem pierwsze razy. Bo w tej szkole do której przychodzi ludzi, raczej wrażliwi, a na pewno pełni zapału i przekonani, że będą się plawić w sztuce przez duże S — człowiek traktowany jest dość bezceremonialnie, żeby nie powiedzieć — brutalnie. I ja też dostałam cięgi. Zresztą studiowałam na dość niedobrym ośrodku. Przeżyłam w szkole śmierć Jana Kreczmara, potem krótką kadencję Władysława Krasnowieckiego. Robiłam dyplom, kiedy rektorem był już Tadeusz Lomnicki, który wniósł w te mury zastrzyk nowego.

N.: W tego typu szkole, jak szkoła aktorska, nawiązuje się chyba szczególne poczucie wspólnoty wśród studentów?

J.: Tak. Właściwie żyło się szkołą 24 godziny na dobę. Była nas niewielka garstka. Zaczęło studia 28 osób, skończyło 18. Po pierwszym roku jest zawsze bardzo surowa selekcja. Zbliżyłam się do koleżanek i nic mi wtedy nie było potrzebne poza koleżankami. Wyrozwadziłam się nawet z domu. Zarabiałam na życie pisaniem na maszynie. Nie chciałam być na utrzymaniu rodziców, z którymi, byłam o tym głęboko przekonana, nic mnie nie łączyło, bo gdzieś tam do mnie, artystki. Trwało to jednak bardzo krótko i niezmiernie szczęśliwa wróciłam na łono rodziny.

N.: Czy coś z tych pani studenckich przyjaźni przetrwało?

J.: Raczej niewiele.

N.: Startowała pani przecież w podziwianej, nonkonformistycznej grupie teatralnej w Puławach? Wszystko się rozsypało wraz z rozwiązaniem tej sceny?

J.: Każdy z nas poszedł inną drogą. Zresztą byli to ludzie starsi ode mnie.

N.: I nie chciałaby pani wraz ze swoimi rówieśnikami, młodymi aktorami, młodym dyrektorem i reżyserem robić młodego teatru?

J.: Owszem, ale ja wciąż jestem na tym etapie, kiedy człowiek nie jest pewien własnych możliwości. Poza tym mam głębokie przekonanie, że aby robić nowy teatr, trzeba dobrze znać stary. A co do młodych reżyserów — chciałabym bardzo pracować z Jerzym Grzegorzewskim. I on też by zresztą tego chciał, ale stale się jakoś mijamy. Jego przedstawienie „Ulissesa“ w Ateneum uważam za jedno z największych osiągnięć dzisiejszego teatru polskiego. W tym przedstawieniu aktorstwo Walczewskiego wchodził, jakby w inny, piąty wymiar. To już nieomal metafizyka, otwarcie drzwi w przyszłość. Walczewski ma to, co mają aktorzy amerykańscy: niby zwyczajnie chodzą,

poruszają się, mówią, a wszystko to więcej znaczy, niż zwykle chodzenie, mówienie. Ma to zresztą także Irena Eichlerówna... Bój się tylko, żeby moment, w którym mnie te sprawy fascynują, nie minął po prostu...

N.: A przecież wbrew temu, co pani powiedziała, teatr Grzegorzewskiego nie jest teatrem konwencjonalnym?

J.: Jeśli można mówić o złych i dobrych konwencjach, można także o złej o dobrej niekonwencjonalności. To, co proponuje Grzegorzewski — zachwycia mnie, to co proponuje Grodowski — odrzuca.

N.: Czemu?

J.: Po prostu te praktyki, z deptaniem chleba, tańcami wokół ognia, niczym na pustyni itd., itp. to są dla mnie rzeczy nie do przyjęcia.

N.: Nazywa się je powrotem do źródeł?

J.: Zdaje się. Jak gdyby można było w ogóle, a zwłaszcza w ten sposób, wstrzymać bieg świata.

N.: A czy chciałaby pani kręcić jakiś film za granicą?

J.: Oczywiście. Już tego nawet spróbowałam. Krzysztof Zanussi i Edward Żebrowski robili w RFN film telewizyjny ze słynną Elisabeth Bergner. Grałam drugą rolę kobiecą. Nawiasem mówiąc nakręciłam ten film w ciągu trzech tygodni. A cała sprawa była dla mnie o tyle ciekawa, że po raz pierwszy zetknęłam się z aktorką z generacji Marleny Dietrich. Miałam wrażenie, że przeniesiono mnie w inny świat.

N.: Ile ona ma lat?

J.: Przyznawała się do 78. Ja nie znam dobrze języka niemieckiego, a ona go zapomniała. Jest z pochodzenia Żydówką z Drohobycza, wyemigrowała do Wiednia, potem pracowała w Berlinie z Bertoldem Brechtem, następnie spędziła długie lata w Ameryce i w Anglii. Cóż to za postać! Co za biografia! Jej kochankiem był sam Einstein! Klasyczne bóstwo, gwiazda, noszona na rękach i do dziś wozona nieomal złotą karocą.

N.: Na czym polega różnica jej aktorstwa i pani?

J.: Na innym sposobie utożsamiania się z postacią. Jej aktorstwo wiadać już w sposobie bycia. Różnica między życiem w aktorstwie a aktorstwem w życiu jest prawie nieodróżnialna.

N.: U pani te dwie płaszczyzny egzystencji są całkowicie niezależne, odrębne?

J.: Mam nadzieję. Poza tym Elisabeth Bergner dysponuje środkami

aktorskimi, których nie mam i nigdy mieć nie będę.

N.: Nawet mając 78 lat?

J.: Tak, bo nigdy nie będę miała takich szans, jak ona. Po prostu tam człowiek przydatny — jest eksploatawany.

N.: U nas — nie?

J.: Nie zawsze.

N.: Nie widzi więc pani możliwości zostania gwiazdą w naszym kraju?

J.: Nie, u nas łatwiej zostać gwiazdą sportu, niż teatru. A poza tym trzeba jeszcze umieć być gwiazdą. Gdy tymczasem dla mnie jest już męką wyjść na estradę i odebrać jakąś nagrodę, czy też w ogóle pokazywać się publicznie.

N.: To dziwne — aktorzy mają na ogół łatwość znajdowania się w takich sytuacjach.

J.: Ja to też wykonuję z pozorną łatwością, ale ogromnie dużo mnie to kosztuje. Niektórzy mówią, że jestem dziwaczką. Może i jestem, a może po prostu w roli dziwaczki czuję się bezpiecznie.

N.: Pani jest już matką, prawda?

J.: Tak, mam czteroletnią córeczkę. Wyszłam za mąż na drugim roku studiów.

N.: I w niczym to pani nie przeszkodziło?

J.: Przeciwnie. Studia skończyłam w terminie. A kiedy zaczęłam pracować, miałam już prawdziwą rodzinę, własny dom. Macierzyństwo nie przeszkodziło mi więc w starcie zawodowym.

N.: A czy chciałaby pani, żeby pani córka była aktorką?

J.: Chciałabym, żeby jako dziecko nie miała nic wspólnego ani z teatrem, ani z filmem. W przeciwieństwie do wielu moich kolegów. A potem — jak zechce. Człowiek musi przeżyć życie wedle własnego gustu. Reżyser: „Papierowego księżyc“ powiedział o dziewczynce, która za rolę w tym filmie otrzymała Oscara, że to 13-letnie dziecko to już stara, trzydziestoletnia kobieta bez złudzeń.

N.: Czyżby ten zawód, czy też środowisko miały tak destrukcyjny wpływ na psychikę?

J.: Na psychikę dziecka na pewno. A może nie tylko dziecka.

N.: Tak krótki staż zawodowy i tyle goryczy — skąd to? Chyba nie z własnych doświadczeń?

J.: Z własnych. Choć może wynikać one nie tyle z okoliczności, co z mojej psychiki i moich własnych wad i ułomności i mojego stosunku do świata. A poza tym — pewnie się starzeję. Właściwie wszystko orawie mam już za sobą, i czasem marzę już tylko o emeryturze, o tym, żeby córka jak najprędzej wydać za mąż i zamieszkać w cichym domku z ogródkiem.

N.: No tak, 25 lat to poważny wiek i sprzyjający tego typu refleksjom i marzeniom, ale jak na osobę obarczoną ciężkimi kompleksami wieku — wykazała pani spróbować zapału w swoim brawurowym występie cyrkowym. A proszę powiedzieć, te umiejętności akrobatyczne wyniosła pani ze szkoły?

J.: A skąd! Przecież ja się tych ewolucji uczyłam przez trzy miesiące codziennie lub co drugi dzień, ćwicząc pod okiem trenera. A pierwsze moje jazdy na jednokołowym rowerku wyglądały tak, że umierając ze strachu, wisiłam po prostu na szyi trenera.

N.: Wykonała je pani, jak rasowa, wytrawna akrobatka!

N.: Podobno, ale cóż z tego! Przecież te nabyte z trudem jednak umiejętności na nic się już nigdy nie przydadzą. Nikt w teatrze nie pomyśli, aby je wykorzystać. Chociaż — może przydadzą się mi samej — bo po skończonej imprezie zaproponowano mi kontrakt w cyrku. Serio! Więc jak mnie już wszystko zawiedzie — mam jeszcze jedną, wielką szansę — pracę na arenie, gdzie liczą się autentyczność i wymienne umiejętności.